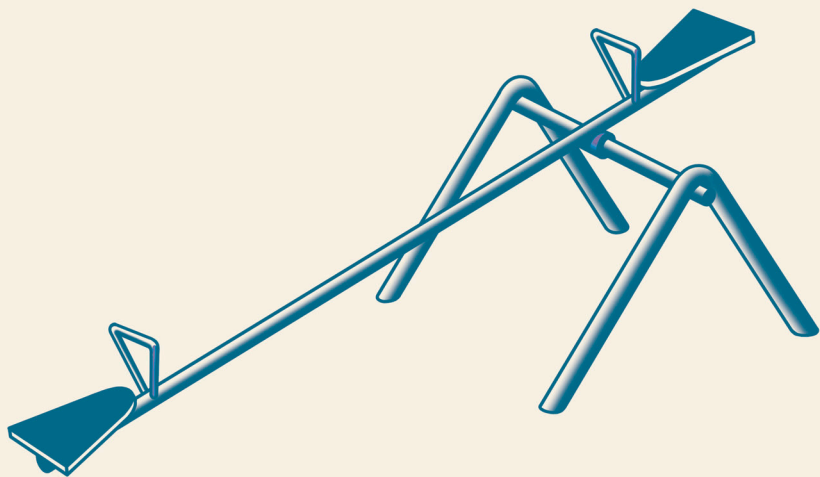


MARTA HORBAL

STÓŁ



Gauka

STÓŁ



fot: Piotr Paciorkowski

Marta Horbal

Rocznik 1988. Ukończyła kulturoznawstwo na Uniwersytecie Gdańskim. Mieszka w Gdyni z rodziną – mężem, córką i zwierzętami. Inspiracji do pisania szuka w codzienności oraz literaturze. Szczególnie ceni tę twórczość, w której wrażliwość estetyczna, dbałość o detal i głębia psychologiczna sprawiają, że dzieło jest interesujące pod względem formy, ale i treści. Z przyjemnością czyta Julię Fiedorczyk, Trumana Capote’a, Ursulę Le Guin, Davida Fostera Wallace’a, Edwarda St Aubyna, Margaret Atwood i Alice Munro. Powieścią *Stół* debiutuje.

Marta Horbal
STÓŁ

Lauka
2021

Copyright © Marta Horbal, 2021
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2021

Wydanie I – cyfrowe
Pruszków 2021

ISBN 978-83-62247-81-3

„Dzieci? Posiłki, głosy, kłótnie. Ludzie.
Przybycie i odejście. Tak wiele.
Ocean szarych istnień”.

William McIlvanney, *Szata Dejaniry*

(...)

Nie było Zuzy, gdy wszedł. W korytarzu leżały rozwalone buty ojca. Pewnie wyjął je złośliwie z szafy i rozłożył, żeby dopiec matce, która wypadła z kuchni z pretensjami, że przyszedł wcześniej, niż oczekiwała.

Zamknął się w pokoiku i opadł na łóżko. Przymknął oczy. Jeśli kręci mu się w głowie, to znaczy, że się nie oszczędzał. Ale to dobrze. Dawno nie palił. Po prawdzie, wcale za tym nie przepadał. Dziś jednak panował nastrój, któremu nie mógł inaczej zaradzić. A próbował – rano wstał wcześniej, dotkliwie pobudzony już o szóstej, i od razu wyszedł na pobliskie pole. Przebiegł dziesięć kilometrów. Tego także dawno nie robił. Liczył, że po kilku miesiącach dycha da mu porządny wycisk. Wrócił zziębnięty, wziął zimny prysznic i zjadł solidne śniadanie. Chwilę się zdrzemnął, po czym znów obudził przepelniony niepokojem. Na szczęście lada moment miała pojawić się Zuza.

Jego wzrok padł na kolorową lampę. Jak oni z Zużą nie znosili tego ohydztwa. To ona tak mówiła: „Ohydztwo, trzeba to wywalić!”. Lampka jak lampka, kolorowa może zanadto. Zuza miała w zwyczaju podważać nawet całkiem błahe wybory rodziców. Choć, trzeba przyznać, mało kiedy wprost. Rodzice zapewne nie mieli pojęcia, jak nienawidziła tej durnej lampy.

Pulsowanie w skroniach przybrało na sile. Przywołał znów lampę w myśli. Pamiętał wyraźnie, jak Zuza wieczorami, tuż po

zgaszeniu światła, wymyślała te wszystkie niestworzone historie. Jedna z nich kończyła się przylotem obcych, których statek miał imitować nieszczęsny tęczowy przedmiot.

„Żarówki gasną i wtedy jest moment, gdy ufoludki wychodzą ze swojego statku na zewnątrz – szeptała siostra konspiracyjnie. – Najpierw spuszczają się na niewidzialnych linkach i tacy maleńcy buszują po ludzkich włosach. Wybierają tylko te jasne, bo sami mają skórę w kolorze złota, i żadnych ubrań, znikają więc w takich czuprynach całkiem niepostrzeżenie...”

Musiał mieć zaledwie kilka lat, bo w miarę rozwoju historii coraz głośniejsze pisał pod kołdrą.

– To co z tym domem w końcu? – wydarła się nagle matka.

Otworzył oczy. Cisza. Nikt nie odpowiedział.

– No więc? – znów krzyknęła.

– Mnie pytasz? Przecież ty wszystko wiesz najlepiej!

Włączył telewizor. Dochodziła siedemnasta. Może niepotrzebnie się tak śpieszył. Mógł zostać u Hyżego, przynajmniej miałby spokojne sumienie, że kumpel nie wyleci przez okno za jakimś jednorożcem albo niebieskim ptakiem.

W telewizji leciał *Świat według Kiepskich*. Podkręcił głośność. Śmiech z sitcomu zagłuszy pogawędkę rodziców. A on może tymczasem się zdrzemnie. Ferdynand Kiepski uniósł pucharok piwa i zaśmiał się, opluwając obficie rude wąsy. Kto miał takie wąsy? Dziadek. Pamiętał, ale jak przez mgłę. Któregoś razu był w Seniewie z Zużą. Dziadek wyszedł z domu akurat w momencie, gdy on chciał wejść. Spojrzał z przestraczem w górę prosto na brodatą banię. Broda zwisała w kołtunie aż do piersi. Dziadek miał przenikliwie jasne oczy, jak ojciec, i różową skórę. Był wysoki jak oni wszyscy, ale i masywny. Zwalisty. Dyszał wtedy nad

nim i wyglądał na zadowolonego, ogorzałe policzki uniosły się na widok wnuka, a oczy zwęziły w dziwnym uśmiechu.

„Chcesz loda, smyku?” – zapytał, kładąc ciężką dłoń na jego głowie. Wszyscy to robili, on zaś reagował zawsze w ten sam sposób, robił jeden krok w tył, pozwalając niechcianej dłoni zsunąć się mimochodem z włosów. Dziadek jednak nie cofnął dłoni, nawet po tym, gdy Wojtek zrobił dodatkowy krok. Spróbował także zrobić kolejny – tym razem w bok. Ręka nadal leżała na jego głowie.

„To jak będzie, Wojtku, zjemy tego loda?”

Poprzedniego dnia był w Seniewie z ojcem. Ten umówił na późne popołudnie wizytę jednego z potencjalnych nabywców. Rodziny nie było już na miejscu, gdy przyjechali.

Dom był w fatalnym stanie. Trudno było uwierzyć, że rodzina, która go zamieszkiwała, faktycznie istniała, że nie była tylko wymysłem ojca, jakimś jego żartem czy czymś w rodzaju zjadliwego dowcipu bez puenty. Podobno nawet żyły tu dzieci.

Wracając, zajechali do Dominika. Wujek, odkąd pamiętał, mieszkał sam w skromnej kawalerce. Nigdy się nie ożenił, miał opinię bawidamka i lekkoducha. „Bawidamek, a to dobre!”, usłyszał w głowie śmiech matki.

Czuł, jak z wolna opanowuje go znużenie. A powinien być rzeński przy kolacji. W kuchni matka nastawiała już piekarnik, słyszał jego szum w przerwach między wybuchami śmiechu w sitcomie. A teraz brzęczenie kubkowego drzewka. Matka wyciągała zielony kubek do herbaty. Nie do każdej, ale do jednego z tych naparów, które po sparzeniu wrzątkiem barwią się na jakiś odcień zieleni. Do czarnej herbaty służył kubek w kolorze niebieskim, do kawy – w czerwonym. Ale tylko czarnej, gdy z jakiegoś powodu matka postanowiła zabielić ją mlekiem, sięgała po jeden z różowych. Wojtek nie znał tła tych dziwnych wyborów, ale

rytuały pozostawały niezmiennie od lat, także dobór kolorów; matka wymieniała swoje kubki tylko na podobne. A teraz miał to być najprawdopodobniej ostatni ciepły napój przed kolacją – melisa albo mięta. Może mieszanka. Świst czajnika. Cisza – matka wreszcie piła. Z zielonego kubka.

– Dla takich jak ja – rzekł Ferdynand Kiepski – nie ma miejsca w tym raju, raju.

Lśniący, pienisty bąbel zawisł mu na wąsie, po chwili pękł pod naporem przesywającego śmiechu.

(...)

Umościła się na kanapie, spojrzała raz jeszcze do wnętrza sklepu. Rossmanowskie ekspedientki poruszały się sztywno jak roboty, kasując którąś z kolei godzinę kosmetyki dla rozemocjonowanych gówniar.

Dostrzegła nagle znajomą twarz w kolejce do kasy. Hanka? Mizerna twarz, włosy w kolorze błota. Tak, to była ona. Obok nóg uwieszony jej torebki jak długi, chudy pajak stał chłopiec. Zadzierał głowę, kierując do matki słowa prośby albo ponaglenia, a jego buzię wykrzywiała dziecięca udręka niecierpliwości. Tuż za nim, mniej widoczna, stała jego bliźniacza siostra. Z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

Szybko przemaszerowała w stronę Empiku znajdującego się za Rossmannem. Hanka na pewno jej nie zauważyła, a nawet jeśli, nie mogła przecież oczekiwać, że Zuza ją zagadnie. Nawet Hanka nie była tak durna. Wchodząc na ruchomy schody, prowadzące na piętro, Zuza obejrzała się za siebie. Pewnie zaraz będą wychodzić z centrum. Kwadrans po siedemnastej matka z dziećmi ładują kłamoty do samochodu, żeby zdążyć na zakupy w Biedronce i wrócić do domu, gdzie zajmą się przygotowaniem późnej obiado-kolacji. Będą niczym troje Amerykanów, egzemplarz młody-podwójny oraz stary-pojedynczy, troje dzielnych Polako-Amerykanów, bliźnięta i ona, smutno-smętna matka nadrabiająca rodzicielstwo przy stole. Ich ostatni tego dnia

posiłek będzie musiał spełnić funkcję obiadu. Rozejrzała się wokół. Na drugim piętrze było prawdopodobnie jeszcze więcej ludzi niż na dole, od zapachu ciał i szumu zrobiło jej się niedobrze. Z czego tak się cieszyła ta pieprznietta młodzież? Wszędzie ich pełno, zalewają przestrzeń jak powódź, nieokiełznana. Wzdrygnęła się. Głód był silniejszy niż wzbierające w niej obrzydzenie. Trudno, postanowiła, że wydobędzie z tego cuchnącego wora, z żołądka spaślaka, to, co się da i natychmiast się stąd ulotni. Przeciskając się między rozwrzeszczaną hałastrą, skierowała się do pierwszego z brzegu garmażu. Bez trudu znalazła lasagne, i to w przyzwoitym wydaniu, płaty gładkiego makaronu przełożone pomidorowym sosem. Zasiadła przy stoliku w głębi wielkiej wyspy, udającej salę jadalną.

Była zaledwie w połowie posiłku, gdy do stolika tuż obok przysiadła się Hanka.

Czy to możliwe, zastanawiała się, że przypadkiem wybrała to miejsce? Na papierowych talerzach wszyscy troje mieli po kotlecie schabowym, tłuczone ziemniaki posypane koprem i plamę buraczanej surówki. Tacy jak Hanka nigdy nie pojmą, jakimi są szkodnikami i nawet w dniu Sądu Ostatecznego zażądają dokładki mielonego. Będą stroić głupie miny aż do samego końca świata, dopóki wreszcie Apokalipsa nie zmiecie ich z powierzchni nagrzanej planety.

Przeniosła wzrok ku górze i wtedy napotkała spojrzenie Hanki. Ta w jednej chwili zamarła, wstrzymawszy ruch widelca. Jej usta zamknęły się, a twarz pokryła rumieńcem; spuściła wzrok na swój talerz. Mały blondyn odruchowo spojrzał na matkę, najwyraźniej wyczuwając zmianę w jej nastroju, co zaraz zdemonstrował płaczącym grymasem. „Mamo, mamo, ja nie lubię tego kotleta”. „Och”, westchnęła tylko matka, polsko-szara,

szaro-polska mysz polna. „Nie lubię, nie zjem go, on śmierdzi!”, darł się chłopiec. „Nieprawda, dziecko”, wyszeptała ledwo żywa ze zmęczenia matka, „wierz mi, lubisz go, a ja zaraz rozkruszę się na twoich oczach w białym wodospadzie soli, niczym bezimien- na żona Lota”. Kim właściwie był Lot?, zastanowiła się Zuza. Nie, nie pamiętała. A mąż Hanki? Chyba jakimś inżynierem. Po narodzeniu bliźniaków niemal od razu wyjechał do Trójmiasta za jakąś gówniarą, influencerką zarabiającą krocie na filmikach z instrukcji makijażu. O ironio, w swoich klipach promowała między innymi kosmetyki firmy, w której pracowała Hanka. Zdradzona żona podobno długo rozpaczała, ale w końcu stanęła na nogi. Rafał podobno miał w tym swój udział, ale ona nigdy nie dopytywała o szczegóły. Wyobrażała sobie tylko czasem, jak on głaszcze Hankę po tych błotnistych glutach wijących się wokół głowy, szepcząc jej do ucha pocieszające wiersze. Wreszcie górował nad Hanką, czując się wspaniale, męsko-zwycięsko. Czy taki był właśnie jej mąż, gdy ona, jego żona, go nie widziała?

Przeszły ją dreszcze. Spojrzała na chłopca, nie pamiętała imienia tego bliźniaka, Stanisław albo Wacław, czy coś równie nudnego. Wyglądał, jakby nie wiedział, co zrobić ze sztukami. Parsknęła. Prawdopodobnie miała przed sobą kolejny egzemplarz przysłanego chłopca-mężczyzny, który bez pomocy matki-kochanki zgubi drogę z sypialni do kuchni. Czy naprawdę Hanka za krótko jeszcze żyła, aby wyrobić sobie psi węż i wyczuwać takich na kilometr? Nie miała ojca, braci, dziadków, wujków?

Ciekawe, że zaledwie przedwczoraj Zuza całkiem poważnie zastanawiała się nad telefonem. A nawet więcej, rozmową w cztery oczy z Hanką. Planowała zajechać do niej któregoś wieczora, kiedy dzieci już zasną. Rozmyśliła się jednak w momencie, gdy zaczęli oglądać z Rafałem film. Wydawało jej się wtedy, że

wracają na dawne tory i mąż, znudzony swoim dystansem, wysyła jej sygnały świadczące o wstecznym kursie. Ochoczo przystała na jego propozycję obejrzenia filmu do kolacji, którą zresztą sam przyrządził, a następnie zaniósł do salonu, rozkładając na stolik bukiety starannie udekorowanych kanapek. Na widok imbryczka z bezkofeinową kawą, którą pili czasem zamiast wieczornej herbaty, zrobiło jej się tak przyjemnie, że blada twarz Hanki od razu się rozpułnęła. Zjedli kanapki, wypili kawę i obejrzeli film do końca, a później, gdy zbliżyła się do niego, rozpinając w pośpiechu koszulę, on wstał po prostu z kanapy. Zrozumiała, że mąż na swój pokrętny sposób dał jej do zrozumienia, co myśli o jej uczuciach. Że wcale ich nie dostrzega.

Okładka:
Adam Walas

Zdjęcie autorki:
Piotr Paciorkowski

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-81-3
wydanie cyfrowe – fragment

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Staram się sympatyzować z bohaterami swojej książki, mimo że wcale mi tego nie ułatwiają. Znajduję im wspólne tematy, bogato zastawiam stół, rozstawiam krzesła w bezpiecznej odległości. Ale ciągle coś nie gra. Miotają się, grzęzną w złościwościach i opychają jedzeniem, by zatkać sobie usta. Opuszczają w biegu mieszkanie, wyjeżdżają z miasta, nie dzwonią i nie piszą...

To trudna relacja.

Najlepiej więc od początku nie liczyć na zbyt wiele. Są jak sarny. Jeden niewłaściwy ruch i uciekają. Ale to łagodne stworzenia.

A handwritten signature in blue ink, appearing to read 'M. Stobiel', is positioned in the lower right quadrant of the page.

Stół to rzecz tyleż o traumie rodzinnej, co o teatrze naszym powszednim, w którym każdy gest i każde słowo może być narzędziem raniącym bliskich sobie ludzi. Pisana z punktu widzenia dwojga młodych, którzy – wskutek tej traumy dziecięcej – siebie, rodziców ani świata nie rozumieją i nie potrafią się odnaleźć w relacjach – w domu, w pracy, w przyjaźniach. Czy jest dla nich wyjście z matni, sposób na odzyskanie harmonii? Czy prowadzi do tego i jest możliwe poznanie przeszłości?

To rozpisana na cztery osoby psychodrama, z nadmorskim miasteczkiem w tle i konfliktem współczesnych stylów życia na horyzoncie.

ISBN 978-83-62247-81-3



9 788362 247813

górowianka

 granice.pl
wszystko o literaturze

BLOG
WARTYM
aniółem